

KOLUMB

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

Ner 10.

Z DRUGIÉJ POŁOWY MAJA 1828 ROKU.

XI.

PODRÓŻ Hr. JANA POTOCKIEGO *do Astrachanu i okolic przyległych w roku* 1797.

(z Dz. Wil.)

15. Maja.— Złocone wieże Moskwy nikną w siniejącéj dali. Bywaj zdrowa Europo, szarpana niepokojem! Jadę oddychać w cichéj spokojnéj Azji. — Dziś jestem skłonny naśladować mieszkańców Wschodu, których karawana w pierwszym dniu podróży najkrótszą drogę odbywa. Czytelnikowi przyrzekam tylko, na nic nie zamykać oczu. Opowiem mu wszystko co postrzegę: niekiedy dodam moje uwagi, a te może nawet od uczonych nie źle przyjęte będą: bo uczyniłem je nie od niechcenia, ale wtenczas jeszcze, kiedym sądził, że dla wszelkiéj

prawdy, tyczącéj się historji człowieka lub przyrodzenia, spokojność i rozrywki z ochotą poświęcać należy.

16. — Puszczam się z biegiem rzeki Moskwy. Okolice piękne i tak zaludnione, że zawsze kilka wiosek razem postrzegać się daje. — W jednéj z nich była uroczystość. — Jaki przepych u wieśniaczek! Zasłony i ubiory na głowach, tak pięknie wyszywane złotem, jak gdyby z Konstantynopola sprowadzone były. Wielu podróżujących mówiło o nędzy rossyjskich włościan; ja piszę, co widzę, nie zaś co inni widzieli. Jednak, im bardziéj oddalam się od Moskwy, tém rzadziéj piękne wsie postrzegam: domy coraz mniéjsze i kryte słomą; w miéjscu okien, szczupłe otworki, szkłem zaprawione. Mnie się zdaje, że byt rossyjskiego chłopa, wiele od jego pana zależy. Oto naprzykład, wioseczka, z dwunastu chat złożona, a cztérech ma panów. Spodziewam się że to nie ulga dla włościan.

17. — Na pochwałę Kołomny, ostatniéj wsi przez którą dziś przejeżdzałem, powiedziéć należy, że przed każdym domem stoi na sankach beczka wody, aby w przypadku pożaru mogła być pod ręką.

W Kołomnie widać jeszcze ślady dawnego jéj przepychu. Przebywszy Okę wjechałem do drugiéj gubernji: tu przyrodzenie zupełnie jest inne. Sosny i brzozy są coraz rzadsze, a natomiast dają się widziéć rośliny krajów bardziéj

południowych. Mieszkańcy gubernji Rjażańskiéj różnią się także od bliższych Moskwy, ubiorem, kształtem domów i obyczajami. Kobiety noszą białe sznurówki czerwono lamowane, na głowach pewny rodzaj mitry z wiszącemi paciorkami. Możnaby je poczytać za kapłanki którego z bóstw starożytnych. Bawią się one grą podobną do włoskiego *Boczetti*, z tą różnicą tylko, że zamiast krążków, jaj używają. Ziemia żyzna, wody podostatek.

18. — Za Rjazanem, sądziłbyś, że na głowach u kobiet widzisz papierowe latawce; inaczéj tego stroju opisać nie umiem. — Chciałem odrysować portret mojéj gospodyni; lecz ona to postrzegłszy uciekła na piec: niepodobna było leźć za nią. We wsi nie udało mi się pomyślniéj: kobiety i dziewczęta oddalały się natychmiast, skorom się do nich zbliżał.

19. — *Rjazsk* miasteczko nie wielkie. Tu było zgromadzenie obywateli: nie na jednego z nich nie mógłbyś powiedzieć: „ma postać szlachetną;“ lecz ich przyjacielska uprzejmość kazała zapominać o tém upośledzeniu w powierzchowności.

20. — Zatrzymałem się na kilka godzin i przyszło mi do głowy przejrzeć moją bibljotekę. Postrzegłem ze smutkiem, że zapomniałem wziąść autorów, którzyby mi w tych stronach najbardziéj się przydali, jako to: De Guignes, d'Herbelot, Petide la Croix, Abulgazi i inni. Na

szczęście zrobiłem wyciąg ze wszystkich tych pisarzy: jest to atlas chronologiczny, z którego będę korzystał niekiedy. — Składa się on z trzydziestu siedmiu kart historycznych, obéjmujących przeciąg, od 2000 lat przed Erą Chr. do naszych czasów: każda karta przedstawia polityczny stan świata w końcu każdego wieku; imiona monarchów spisane są na brzegu. — Między każdemi dwiema kartami znajduje się spis wypadków chronologicznym porządkiem ułożony. Każdéj części świata poświęciłem osobny atlas, 37 kart zawierający. Sam atlas Azji kosztował mię pięć lat ciągłéj pracy; jemu winienem zachowanie, jakie miałem u Bartelemiego; rozmowa z tym znakomitym była wytchnieniem dla mnie. Atlas ten wiozę z sobą do Azji.

21. — Między *Kozłowém* i *Tambowem* znalazłem mnóstwo starożytnych okopów, zapewne należących do owych czasów, kiedy zagony narodów koczowniczych tych miéjsc sięgały. Twierdze z ziemi sypane trwają niezmiernie długo; przyczyna tego jest jasna: wznosząc się bowiem pod kątem 45° nie łatwo same przez się rozwalać się mogą. W *Kaffie* naprzykład, jest jeden okop, bez wątpienia ten sam, który Herodot opisując, powiada, że był robiony przez niewolników Scytyjskich za czasów Ciaxaresa, króla Medów.

Zdaje mi się, że mieszkańcy gubernji Tambowskiéj nie są tak przebiegli, jak chłopi mo-

skiewscy. Chcąc widzieć wiele chłopów i niewiast, dosyć jest o zachodzie słońca, kiedy trzody wracają z pola, zajść do szynku we wsi: jest to żywe i przyjemne widowisko,

22. — Dziś pierwszy raz w życiu widziałem mogiłę, czyli *tumulus* (Kurhan). Są to jedyne pomniki tylu narodów, które zamieszkiwały, albo tylko przechodziły te strony. Daléj postrzegłem na stepie mnóstwo małych mieszkań, na dwie stopy wysokich. Nie mogłem z początku zgadnąć, coby to takiego było; nakoniec ujrzeliśmy w wielu miéjscach małe zwierzątka, żółtawéj sierci z czarnym ryjkiem które podnosiły głowy i gwizdały z całéj mocy. Ludzie moi jednozgodnie utrzymywali, że to małpy: jakoż w saméj rzeczy z ułożenia postaci były do małp podobne; lecz poznałem w krótce że to były bobaki. Zdaje się że one stolicę swoją założyły około Panowa, i tylko tu mieszkają; daléj nie widziałem już ani jednego.

Nowo-Choperska twierdza, ostatnie z téj strony miasto rossyjskie, jest bramą, kędy się wjeżdza do ziemi kozaków Dońskich. — 23 *maja*, piszę na stacji, to jest pod gołém niebem przy ognisku, przy którém kozacy rybę gotują. — To, co oni nazywają stacją, znajduje się pośród stepu, opodal od drogi: wsie ich widać tylko z daleka. Powiadają, iż to dla tego, aby mieć pod ręką konie swobodnie pasące się na stepie.

24. — Po przebyciu kilku rzek, przejechałem dwie kozackie stanice (wioski, osady). Była natenczas Niedziela; mieszkańcy przechadzali się; mężczyzni porządnie odziani i nieco podweseleni, śpiewali; kobiety były wystrojone; ubiór ich zupełnie iest wschodni; szczególniéj wysadzają się na rękawach koszul: bogatsze mają jedwabne, uboższe płócienne w duże czerwone kwiaty tkane; na zawojach dają się widziéć dwa rogi szczególniéjszego kształtu.—Przenocowałem tu dosyć spokojnie. Kozacy dla rozpędzenia much bardzo uprzykrzonych w tym kraju, przynieśli fajerkę z żarem, posypali ziółkiem, które wydało dym gęsty, przyjemnéj woni, pozamykali wszystkie otwory, oknami u nich zwane, i tym sposobem uwolnili mię, choć na chwilę, od tych natrętnych gości. Kozacy kadzą podobnie co wieczór, nawet na wolném powietrzu, i konie ich tak znają skutek dymu, że zbierają się około ognia, jak gdyby chciały się ogrzać.

Dwóch młodych kozaków dążało się w obecności mojéj. Sztuka zależy na tém, żeby chwycić przeciwnika za pas, i z całéj siły padając na wznak, przerzucić go przez siebie. Zdaje się, że którykolwiek z nich połamie sobie ręce i nogi; ale kozak nie jest tak delikatny; przy mnie powstawali oba zdrowi i cali, jak gdyby po zwyczajnym upadku. Igraszka ta, tém bardziéj zasługuje na uwagę, że kozacy przypisu-

ją jéj swoje pochodzenie. Kiedy Włodzimierz podbił *Cherson*, syn jego Mścisław, przebywszy Bosfor, przybył na wyspę, na któréj stał *Taman* stolica podówczas Xięztwa Tmutarakańskiego. Xiąże Jassów, czyli Kosogów, bronił się na niéj: zgodzono się zakończyć wojnę pojedynkiem bez oręża. Mścisław został zwycięzcą. Mnie się zdaje, że *Jassy* są toż samo, co *Assy* u podróżników trzynastego wieku; można przekonać się o tém ze zbioru Ramuzjusza. Mniemam także, iż *Kosogowie* Nestora, jakimkolwiek bądź byli narodem, mieszkali w Kazachji Konstantyna purpurorodnego. Kosogowie ci, podówczas naród wpółkoczowniczy, zostawszy zwyciężeni, musieli opuścić Kazachją; na ich miéjscu zamieszkali rycerze Mścisława i przyjęli nazwisko Kazaków: tak, a nie Kozakami nazywają ich teraz.

25. — Przejechałem jeszcze jedną kozacką stanicę. W dzień świąteczny wszystek lud był wystrojony. Dziewczęta pobrawszy się za ręce, przechadzały się i śpiewały; mężczyzni siedzieli z miną poważną. Nigdy oni do powitania mię nie byli pierwszymi; ale kiedym ja poczynał, wstawali zaraz i kłaniali się wszyscy. Przeprawa przez *Niedźwiedzicę* dosyć jest dziwna. Utrzymują tu dla podróżnych łódki; kozacy robią na nich wiosłem, a konie płyną obok. Daléj na stepie tłumami biegały susły (mus citillus), naj-

niebezpieczniéjsi nieprzyjaciele plonów w tych stronach.

26. — Uważałem na Kozaków w dzień powszedni; ale nie widziałem żeby który co robił. Szlachetne próżnowanie jest u nich w modzie. Należy przyznać, że to jest lud wielce pobożny, przynajmniéj tak się zdaje, widząc po drodze mnóstwo pięknych cerkwi. Jechałem natenczas w dół *Donu*, króla wszystkich rzek Scytyjskich, sławnego u poetów greckich pod imieniem *Tanais*, który tak często przebywałem ze Strabonem, Herodotem i Ptolomeuszem. Nakoniec opuściłem te brzegi i zbliżyłem się ku wązkiéj przestrzeni ziemi, dzielącéj Don od Wołgi. Droga ztąd o wiorst trzydzieści podnosi się widocznie; wnieść zatém można, że dawny zamiar przeprowadzenia tędy kanału, spotkałby trudności. Ciężko jest opisać, jaki widok zniszczenia przedstawia ta płaszczyzna, z przyczyny wzniosłego położenia swego na całą wściekłość burz narażona. Rzadko gdzie na jałowych piaskach widać zwiędłe kaliwo trawy; a jéj brudny kolor, stanowi zupełną sprzeczność z piękną zielonością dolin, leżących nad starą linją kozacką. Nawet około folwarków nie masz żadnego śladu uprawy.

Niedaleko *Carycyna* widziałem w odległości stepową kozę, która szczękę górną tak ma długą, iż nie może inaczéj zrywać trawy, jak idąc wstecznie. Z jednego wzgórza nagle zjawił się

przedemną rozlew Wołgi: niepodobna opisać wspaniałości tego obrazu. Widziałem wylanie Nilu; lecz tak wielką część wód jego pochłaniają kanały, że dla zwilżenia pól, ryżem zasianych, potrzebne są machiny. Tu zaś rozwija się archipelag obszerny: od wyspy do wyspy ciągną się wierzchołki lasów, sterczące nad fale. Ryby igrały koło drzew, jak w potopie opisanym przez Owidjusza.

Miasto *Carycyn*, przed trzema laty zniszczone od pożaru, wystąpiło z gruzów piękniéjsze niż było dawniéj.

27. — Przebyłem rzekę *Carycę* i postrzegłem się w Azji; przynajmniéj wielu krajopisarzów uważają tę rzekę za kres, dzielący Azję od Europy. Zdaje się, że na potwierdzenie tego mniemania, Kałmucy porozbijali z téj strony rzeki swoje namioty, z których wyglądały ich azjatyckie twarze. Podobni są oni zupełnie do Chińczyków, dających się widziéć na rysunkach chińskich. Czapki ich mają kształt grzybów. Włosy noszą splecione w długie warkoczyki na wierzchołku głowy: u mężczyzn jeden wisi z tyłu; u kobiét dwa, na piers spadają.

Z tąd we trzy godziny przybyłem do Sarepty, gdzie spokojni bracia Morawscy zaprowadzają swój przemysł między dzikimi. W mieście tém najdogodniéj jest poznawać historję *Kałmuków*. Większa część braci rozumie ich język, niektó-

rzy nawet piszą po kałmucku, bo całe lata trawią na włóczędze z hordami; są i tacy którzy trudnią się przepisywaniem ksiąg kałmuckich. W książkach tych niemasz ani języka ani głosek Tybetańskich; pisane one są w djalekcie Mongolskim, którym kałmucy mówią; litery ich także zbliżają się do Mongolskich.

Kałmucy mają zwyczaj przychodzić nad Wołgę, kiedy woda opada. Ci, co natenczas rozbili swoje namioty około Sarepty, tak małe mieli trzody, że nie mogąc się z nich wyżywić, musieli wziąść się do pracy, do czego kałmuk nie łatwo się skłania. Podobnie tu, jak we wszystkich krajach mało zaludnionych, robotnikom płaci się drogo. Kałmucy więc mogliby żyć w dostatkach, ale pracować, dla nich rzecz zbyt trudna: chyba tylko ostateczność może ich znaglić do jakiegokolwiek zatrudnienia. Wolą cały dzień włóczyć się po mieście, albo leżeć na słońcu. Widziałem tłumem cisnących się do kramów, jak gdyby chcieli i mogli zakupić wszystko.

Pies mój uczynił na nich szczególniéjsze wrażenie: dowiedziałem się z powodu téj okoliczności, że kałmucy wierzą w jakiś związek przechodzenia dusz z istotą tego zwierzęcia, i dla tego poczytują za największą cześć, być przez psów zjadanymi. Jakoż, wszelkiemi sposobami starają się dostąpić tego zaszczytu, i pomimo największe dla psów poważenie, bardzo źle ich

karmią, niezmiernie oszczędzając mleko. Nie wyrzucają im ścierwa nawet: bo sami zdechłe było zjadają.

Tak więc biedne psy, zmuszone są żywić się trupami kałmuków, a w niedostatku i tego posiłku, łowić susły. Jeden z mieszkańców Sarepty, który kilka lat jeździł z hordą kałmucką, opisywał mi ów odrażliwy widok, kiedy zgłodniałe psy z chciwością rzucają się na martwe ciało, szarpią je i nawzajem kęsy wydzierają sobie.

Strabon, mówiąc o koczowniczych Scytach mieszkających między *Sogdjanami* i *Baktrjanami*, tak powiada: „W stolicy Baktrjanów psom dają osobne nazwisko, w naszym języku znaczące *grobowników*. Psy te powinny pożerać każdego kto upadł pod ciężarem starości lub choroby. Z téj to przyczyny w okolicach tego miasta nie widać mogił, a między murami wala się mnóstwo kości. Powiadają, że Alexander Macedoński zniósł ten zwyczaj.“

Cyceron mówi toż samo o Hirkanach „W kraju tym“ — powiada on (*), „lud wspólnym kosztem, a znakomitsi po swych domach, utrzymują psów, aby ciała ich zjadały: ponieważ uważają to za najzacniéjszy sposób pogrzebu.“

28. — Widziałem dziś karawanę kupców Rossyjskich i Tatarskich, wiozących na przedaż

(*) Quaestion. Tusculan. c. 55.

do hordy kałmuckiéj zboże, wino i meble, to jest małe, wązkie i nizkie ławeczki, drewniane skrzynki, malowane pokostową farbą, oraz drzwi tak robione, aby je można było do kałmuckich kibitek przystawiać.

Potém pokazała się karawana, złożona przeszło z trzydziestu Tatarskich powozów, na których Ormjanie przyjechali do Sarepty. Pierwszy raz natenczas usłyszałem przeraźliwe skrzypienie kół tych powozów, *arbami* zwanych, co przed czasem było powodem, iż całemu pokoleniu jednemu dano przydomek *Hucznego*. Jeszcze i teraz Tatarowie chlubią się z tego wrzasku. „Tchórze tylko“ powiadają oni „zwykli smarować koła; mężni zaś ludzie nie lękają się tego, żeby ich od końca do końca stepu słyszano.“

Piszę to na barce, po falach Wołgi niosącéj mię do Astrachania. — Ponieważ wiele mówiono o zbójcach obdzierających na rzece, gospodarz statku rad był mieć cztérech podróżnych uzbrojonych dobrze, i dla tego łatwo o zapłatę umówił się ze mną. Zarzuciliśmy kotwicę przy niewielkim ułusie, czyli kałmuckiéj wioseczce: Kałmucy biegają na wszystkie strony, chwytają jedni drugich za kołnierze, brzmią niesfornie na rozmaitych narzędziach muzycznych, słowem: tak są ruchawi jak szczenięta. Nadzwyczajna ich żywość w zupełnéj jest sprzeczności z osłupiałością Tatarów.

29. — O świtaniu rozwinęliśmy żagle. Gospodarz nasz został na brzegu, obiecując w szalupce płynąć za nami; lecz nie dotrzymał słowa. Nieobecność jego była powodem, że czeladnicy źle spełniali swą powinność, a ztąd późniéj doświadczyliśmy wiele nieprzyjemności. Pod czas ciszy, bardzo przykréj dla nas, widzieliśmy mnóstwo pelikanów. Niektóre przypływały dosyć blisko do nas. We dwie godziny silny pęd wody wpędził nas na wyspę, pokrytą lasem i zalaną zupełnie. Długi czas napróżno usiłowaliśmy odhaczyć barkę; sądziliśmy, że niezawodnie już zatonie. — Szczęściem, że nie wpadliśmy na wielkie drzewa; mniéjsze ugięły się, lub złamały, i nakoniec wyszliśmy z niebezpieczeństwa; ale szalupka nasza została uwięziona między gałęźmi.

W krótce przybyliśmy do wioski; cały brzeg był okryty ludźmi; odzież ich zupełnie była mi nieznajoma. Dowiedziałem się, że tę osadę składali Tatarowie *Czuwaszy* i *Mordwa*, niedawno tu zamieszkali. Czeladnicy wyszli na brzeg, żeby nająć łódkę i popłynąć po szalupkę zostawioną na wyspie. To zdarzenie pozwoliło mi przypatrzyć się narodom, które tylko z nazwisk znałem. Większą część mieszkańców wioski stanowili Tatarowie, bardzo nędznie przyodziani. Kobiety zaś przeciwnie, niezmiernie były wystrojone, naróżowane i wybielone. Płócienkową odzież Czuwaszów zdobiło bogate wy-

szywanie kolorowe, wyobrażające najczęściéj krzyże rozmaitego kształtu. Mordwinki, mianowicie dziewczęta, ubierają się szczególniéj dziwacznie. W uszach noszą dwa pęki wełny; do włosów wplatają dzwonki, a na szyi zawieszają wielkie miedziane bębenki. Przytém bardzo są dzikie: skorośmy tylko chcieli cokolwiek zbliżyć się do nich, uciekały natychmiast i kryły się po domach. Do téj dziwnéj mięszaniny narodów przyłączyli się jeszcze rybacy rossyjscy i kałmucy najmujący się za pasterzów.

Przeszedłszy się po wiosce, piłem herbatę u Rossjanina, będącego rządcą osady. Rozmawialiśmy o zbójcach Wołżańskich, i dowiedziałem się od niego, że w istocie niebezpieczeństwo było wielkie. Nie są to, mówił mi Rossjanin, przewoźnicy lub włóczęgi, ze zdarzenia szukający obłowu, lecz zbójcy porządnie uzbrojeni. Herszt ich, jest przestępca zbiegły z Syberji: wyrwane nozdrze i napiętnowane czoło, świadczą o dawniéjszych zbrodniach jego. Zbójcy ci nietylko napastują największe statki, lecz nawet rabują po brzegach rzeki.

Majtkowie nasi powrócili z szalupą i ruszyliśmy daléj. Opowiedziałem im com słyszał i to mocno ich zatrwożyło; zaczęliśmy myśléć o środkach obrony. Barka była uzbrojona w dwie armatki: jedna z nich mogła mieć długości stopę, druga kilka calów więcéj. Na szczęście broń moja czyniła lepszą nadzieję, niż ta ar-

tylerja. Miałem dwururną strzelbę angielską i sześć muszkietów dobrze opatrzonych. We wszystkich statkach żeglujących po Wołdze, znajduje się podniesienie dla sternika, gdyż rudel przyrządzony jest wysoko nad pokładem. Na tém podniesieniu kazałem rozłożyć broń naszą.

W czasie zajęcia się tém przygotowaniem zdarzyło nam się nowe nieszczęście. Barka osiadła na mieliznie; próżno majtkowie natężali wszelką usilność żeby ją zepchnąć na wodę. Noc była ciemna i burzliwa. Zmęczeni czeladnicy pokładli się i pozasypiali; sen ich był tak mocny, jak niegdyś sen Cezara pośród Cylicyjskich zbójców morskich.

Nazajutrz, dnia 30 Maja, przeładowano statek, i znowu popłynęliśmy daléj; lecz w minutę dała się widzieć łódka napełniona ludźmi, których poruszenia bardzo były podejrzane. Wzięliśmy się natychmiast do broni i wystrzeliliśmy kilka razy, dla pokazania, że gotowiśmy dać odpór. Na zawrocie rzeki pęd wody poniósł nas prosto na łódkę, i podpłynęliśmy tak blisko, że mogliśmy przeliczyć ludzi stojących na niéj: było ich dziesięciu. Sądziliśmy już, że przyjdzie do potyczki, lecz z wielkiém podziwieniem naszém, łódka skierowała się na bok i w krótce znikła nam z oczu. W miéjscu, gdzieśmy nocowali potwierdzono nam to wszystko, cośmy słyszeli o tych zbójcach, i dodano, że

oddział wojska przeciwko nim wyprawiony został.

1. Czerwca.— Dowiedzieliśmy się z pewnością, że w saméj rzeczy widzieliśmy zbójców. Zrabowali bowiem statek idący za nami i pozabijali jego osadę. Na nas zaś, jak sami późniéj mówili, nie napadali dla tego, że postrzegli na pokładzie dwa ekwipaże zbrojnymi ludźmi otoczone; gospodarz nasz, który nas dzisiaj dopędził, widział ich na jednéj wyspie gotujących jedzenie; lecz ani spojrzeli na jego łódkę, niespodziewając się po niéj bogatego łupu.

Majtkowie nasi byli pijani; ruszyliśmy więc dosyć późno. Płynęliśmy między wyspami mimo równiny wylewem zatopionéj. Majtkowie łowili zająca, wodami Wołgi na wysepce zamkniętego. Widzieliśmy także mnóstwo pelikanów i kormoranów, pływających w oddaleniu. Wieczorem pomijaliśmy chatki rybackie, gdzie mieliśmy nadzieję dostać żywności; lecz znaleźliśmy je od mieszkańców opuszczone, i zupełnie zanurzone w wodzie.

Pod wieczór zbliżył się do nas statek z Astrachania, chcąc powziąć wiadomość o zbójcach. Nakoniec wysiedliśmy w Tenołowie; lecz przybijając do brzegu barka nasza porozrywała sieci rybackie, za co odebrawszy nieskąpy zbiór złorzeczeń, wypłaciliśmy się wzajemnością. Dnia 4 Czerwca, pierwszy raz w życiu widziałem dwugarbowego wielbląda i postrzegłem, że wi-

zerunki tego zwierzęcia znajdujące się w Europie, zupełnie są nietrafne. Większa ich część jest kopjami z rysunków Biufona, które także nie bardzo są dobre. Przepędziłem kilka minut w obozie kałmuckim; bawiła nas niezmiernie przyjemna prostota Kałmuków.

Step około Tenołowy, ma kolor sinawy, albo raczéj zielonawy, jak morze; przyczyną tego jest aromatyczne ziółko, które tu rośnie w niezmiernie wielkiéj obfitości, i przyjemną wonią napełnia powietrze. Powiadają, że to jest gatunek piołunu (artemisia). Skoczki (mus jaculus) dosyć tu są pospolite; nor ich przeliczyć niepodobna. Bardzo mi się chciało złowić choć jednego, żeby się przypatrzyć, czy podobne są do afrykańskich; lecz je tylko na wiosnę łatwo jest łowić.

5. Czerwca.— Miałem przyjemność przepędzić kilka godzin z hrabią Walerjanem Zubowem powracającym z wojny perskiéj. Słuchałem go uprzejmie, ale serce mi się krwią zalewało: bo musiałem zrzec się wielu myśli drogich dla mnie. Pilnowałem się, jak tylko mogłem, drogi wojsk rossyjskich, podług mappy wschodniéj części Kaukazu, bardzo starannie w czasie marszu zrobionéj. Rossjanie, przeszedłszy Choysu, wkroczyli w prowincje Szamchala Tarskiego; xiąże ten oddał się już był pod protekcję Rossjan, i dla tego jenerał Zubów, nie znajdując

trudności w posuwaniu się naprzód, opanował Derbent, miasto zupełnie zamknięte w prowincjach Kadego Tabasserańskiego. Nakoniec Zubów założył główną kwaterę swoją na granicy pustyni Muhańskiéj. Podczas całéj téj wyprawy Rossjanie rzeczywiście tylko z Lesgińcami mieszkającemi po górach zupełnie nieprzystępnych potykać się musieli. Za temi górami mieszka Awar-Chan; imie Awar służące temu Chanowi, należy do jednego ze starożytnych Huńskich narodów; to właśnie było powodem że w słowniku porównywającym wszystkie języki, wydanym w Petersburgu, język tych Awarów położono tuż po Węgierskim; chociaż ja nie postrzegłem żadnego podobieństwa między niemi.

Hrabia Zubów znajdował się w przyjaznych stosunkach, tak z narodami kaukazkiemi, jako też z innemi nierównie daléj odległemi, które są: Turkmeńcy, Bucharowie, i Awgańczykowie. Bucharowie są starożytnymi Sogdjanami; pomięszali się oni z Turkmeńcami, znajomymi dawniéj pod nazwiskiem Usbeków.

Z wielkiém ukontentowaniem dowiedziałem się nakoniec, że się znajduje obwód Tałyszyńskim nazywany, gdzie rządzi Chan osobny, i mówią językiem dla Persów niezrozumiałym. O bytności tego małego państwa dowiedziałem się naprzód z jednéj niemieckiéj xiąż-

ki. (*) Wyczytałem w niéj co następuje: „W Gilanie są dwa rodzaje mieszkańców: Gilańczykowie i Taljani: jedni mieszkają na dolinach drudzy w górach; Gilańczykowie mówią językiem który jest tylko djalektem perskiego; język Taljanów zupełnie jest oddzielny, tak, że oba te narody nawzajem rozumiéć się nie mogą; pies po Taljańsku i po Persku *Spake*, a po Gilańsku *Sek*.“

Przypominam sobie, że jedyny medyjski wyraz, jaki nam Herodot zachował, jest Spako (suka), co bardzo zbliża się do Spake. Azaliż Taljanie są szczątkiem Medów? Lecz nie będę się daleko w etymologję zagłębiał, żeby nie naśmieszyć krytyków. S. F. Gmelin zwiedzając te strony był blisko, albo może i w saméj Tałyszy; lecz dla niego, jako dla naturalisty, historyczne badania o narodach stanowiły przedmiot obcy; toż samo można powiedzieć o Gildensztetcie i o innych podróżujących członkach Akademji Petersburgskiéj.

6. Czerwca— otrzymano rozkaz z Astrachania ścigać zbójców, którzy zjawili się na rzece Achtubie. Widziani więc przez nas, składali tylko oddział téj bandy.

(*) Der allerneuerste Staadt von Kazan, Astracan, Georgien i t. d. Norymberg 1724, 1. tom w 12 z rycinami. Miejsce przytoczone przezemnie znajduje się na str. 334.

Czas był bardzo piękny; płynęliśmy powoli. W nocy musieliśmy spuścić kotwicę blisko jednéj wyspy: rzucało nas jak na otwartém morzu. — Dnia 7 Czerwca powietrze było jeszcze gorsze. Dla rozrywki zacząłem przeglądać porównywający słownik we cztérech częściach. Znalazłem w nim około dwóchset wyrazów nazwanych Suzdalskiemi; jedna ich połowa zupełnie należy do rossyjskich, druga nie pochodzi od żadnego z djalektów Sławiańskich. Niektóre z tych ostatnich zdają się mieć zupełnie greckie pochodzenie, jako to: kiria (ręka), galimo (mleko), gir (starzec), mites (noc) w nowogreckim języku.

Wieczorem przybyliśmy do Czarnojaska. Stanąłem u bogatego rybaka. Ztąd wyraźnie widziałem rozwaliny miasta Saletrowego; nazwano je tak od będących w niém fabryk saletry; dawne zaś nazwisko jego, równie jak wielu miast innych których rozwaliny dają się postrzegać na stepach, jest niewiadome.

8. — Pomijając jedną wyspę postrzegliśmy cóś uderzającego w oczy; był to piękny dom, niedawno zbudowany przez kałmuckiego xiążęcia nazwiskiem Tiumen; pierwszy on sprzykrzył sobie życie koczownicze, chociaż pozostał wiernym religji Lamy, i zawsze część lata pod namiotem przepędza.

Pod czas buranu, który tylko co nas nie przybił do brzegu i zmusił zarzucić kotwicę na środ-

ku rzeki; majtkowie popłynęli na bliską wyspę po wodę, a ja tym czasem zasiadłem pisać uwagi nad Herodotem. Ojciec historji przed 2,200 lat zwiedzający Scytję, podróżuje teraz po niéj zemną. Od jego czasów sto rozmaitych narodów mieszkało w krainie, gdzie ja się znajduję; rozwaliny ich miast zalegają stepy, lecz imiona ich znikły. Tysiące monarchów i sławnych wojowników pogrzebione są w stepie, i któż wie o nich? kto o nich słyszał? Jeden Herodot najdawniéjszy z historyków żyje w swojém dziele. Nie pozostał najmniéjszy ślad drogi wojowników; przetrwało tylko to, co Herodot zapisał. Historyk, mówiłem do siebie, słusznie pysznić się może, chociaż wódz szczęśliwy z pogardą nań poziéra. Przyjdzie czas, kiedy wódz będzie żył — z łaski historyka.

9. — Nie mogliśmy objąć wzrokiem całéj przestrzeni, jaką zalała wezbrana odnoga Wołgi. Wsie zdawały się pływać; trzody rykiem domagały się żeby je przeprowadzono na miéjsca wyższe, które stały się wyspami. Z przyjemnością patrzyłem na czynność około mnie panującą; na prawym brzegu zatoki wznosił się szereg chat czyli kibitek kałmuckich; ich łódki pokrywały rzekę. Wiatr dosyć powolny zbliżał nas niekiedy do wysep, gdzie kilka tysięcy kruków zwijało gniazda; przeraźliwe krakanie tych ptaków zupełnie nas zagłuszało. Gotów byłem z razu złorzeczyć przyrodzeniu, że tak

wiele kruków wydało; lecz niechęć moja zamieniła się w uwielbienie opatrzności, kiedym się dowiedział od jednego z mieszkańców Astrachania, że w wielu okolicach nad Wołgą położonych, żyćby nie można było z przyczyny ryb gnijących, gdyby ich kruki nie pożerały.

Nakoniec po południu postrzegliśmy wieże Astrachania, a w kilka godzin przypłynęliśmy do tego miasta. Pierwszy człowiek, którego spotkałem wyszedłszy na brzeg, był Indjanin z żółtym kwiatkiem na głowie; teraz już nie wątpiłem że się w Azji znajduję. Dowiedzieliśmy się w porcie że dziesięciu zbójców wołżańskich pojmano.

(Dokończenie nastąpi.)

XII.

Anglja i Szkocja. — Przypomnienia z podróży w roku 1820-1824 odbytéj, *przez Krystyna* Lacha-Szyrmę; *z rysunkami litograficznemi. Tom* I. *Warszawa. W drukarni Gałęzowskiego i komp.* 1828.

Z niemiłém wyznać musimy uczuciem, iż literatura nasza zbyt małą posiada liczbę opisów podróży, tak w ojczyźnie jak w obcych krajach przez ziomków naszych odbywanych; wyliczenie

ich ograniczyłoby się na kilku ważniéjszych tego rodzaju dziełach, oraz krótkich więcéj lub mniéj wartości mających artykułach w gazetach albo innych pismach perjodycznych umieszczonych. Tém mocniéj dziwić byśmy się powinni niedostatkowi temu, iż tak znaczna jest liczba podróżujących za granicą Polaków. Jakże mało jednako woców ich podróży udzielonych powszechnéj wiadomości! Czemuż przypisać mamy tę obojętność na korzyść z ogłaszania podróży dla kraju własnego wynikającą? jest że to samolubstwo podróżujących, nieufność w własnych postrzeżeniach, lub nakoniec niedostatek czytających? Nie chcemy przypuszczać nawet dwóch pierwszych przyczyn, i przypiszmy raczéj ostatniéj to rzadkie zjawianie się u nas dzieł do jakich *Przypomnienia* autora naszego należą. Uwagi powyższe tém bardziéj podnoszą zasługę jego, która ocenienie swoje już w głosie powszechności znalazła. Stanowisko z jakiego autor zapatrywał się na zwiedzane przez siebie kraje, jest właśnie takiém, jakie winniby obierać wszyscy ziomkowie nasi których podróży nie jest celem samo ciekawości zaspokojenie, lub chluba z objechania celniéjszych stolic Europy. Jeśli ważną iest rzeczą kraj własny poznawać, wydzierać niepamięci zabytki starożytnéj przodków chwały, badać podania miéjscowe ludu, zbierać rysy obyczajów jego i zwyczajów, upatrywać przyczyn stagnacji przemysłu w je-

dnych, jego wzrostu w innych częściach ziemi rodzinnéj; nie mniéj ważną, nie mniéj pożyteczną jest również szukać między obcemi narodami przyczyn ich moralnéj wyższości, ich pomyślności i szczęścia, aby bez uprzedzenia, bez przesądu wskazywać to co naśladowania jest godném, i da się naśladować, lub to co z własnego położenia kraju, z własnego charakteru i zdolności wydobyć możemy i powinniśmy, jeśli na drodze moralnego doskonalenia się o wiele przynajmniéj innym ludom prześcignąć się niedozwolić mamy. Pod tym to względem, ile z tomu pierwszego *Przypomnień* wnosić można, zapatrywał się autor na ludy do najukształceńszych należące; te chwalebne pobudki przewodniczyły mu w zbiéraniu wiadomości i opisywaniu ich dla rozrywki, a przedewszystkiém dla pożytku ziomków. Skromne *Przypomnień z podróży* nazwanie dzieła swego usprawiedliwił on w przedmowie; nie chciał (jak sam mówi) — „czekać z niém do dziewięciu lat Horacjuszowych, które w mniemaniu wielu, jakąś doskonałość płodom literackim mają zapewniać; owszem, żałuje bardzo, iż z przyczyny obowiązków swego powołania i do połowy wspomnionéj liczby lat musiał z nim przetrzymać, inaczéj byłoby już od dwóch lat jeśli nie rychléj w ręku publiczności.“ „Takowe opóźnienie było mu powodem, że nie ogłasza swéj pracy pod tytułem *Podróży*, lecz *Przypomnień*: ostatni tytuł uważał za

stosowniéjszy, gdyż właściwie pod kształtem wspomnień cała rzecz z pod pióra wychodziła.“

Godło jakiém autor pracę swoją oznaczył: „*Speak of me as J am*“ (Mów o mnie jak jestem), staje się dla nas rękojmią bezstronności jego. O téj nas przekonywa, kiedy w zebraniu mnogich wiadomości o obyczajach, zwyczajach, charakterze i instytucjach Anglików i Szkotów, wskazując dobrą stronę, nie pominął i tego co w nich niedoskonałego i błędnego postrzegał. Nie tak jak większa część podróżnych, autor mówi o sobie tyle tylko, ile to konieczném do wyjaśnienia rzeczy uważa. Unikał zaś wszędzie tych drobnych szczegółów, które osobę jego wyłącznie obchodząc, dla czytelników zupełnie są obojętnemi. Opisy naturalnie, treściwym, gładkim, jędrnym i wolnym od zbytecznych okras lub oschłości stylem skreślone, uwagi bezstronne i głęboko pomyślane, właściwie użyta erudycja, oto są zalety cechujące to dzieło. Tyle one czynią je zajmującém, iż przykro jest czytającemu, że skończywszy tom pierwszy do dalszych bezpośrednio przystąpić nie może.

Wydanie dzieła jest piękne, poprawne i tanie; rysunków jednak prócz popiersia Walter-Scotta, nie możemy nazwać dobrze wykonanemi, na jakieby dzieło to zasługiwało. (*)

(*) Nie tu zapewne jest miéjsce dla uwag pod względem typograficznym, nie możemy jednakże zamilczéć, iż

Aby jednakże czytelnikom bliżéj dać poznać pracę ziomka naszego, sądzimy iż należy nam przebiegając treść przytoczyć niektóre wyjątki, które najlepiéj przekonać ich będą mogły, czyli sprawiedliwém jest zdanie w tém miéjscu przez nas objawione.

Autor podróż swoją zaczyna opisywać od miasta *Calais*, na brzegu Francji naprzeciw *Doveru* leżącego, które z powodu mnóstwa osiadłych tam Anglików, upowszechnienia ich mowy, a nawet obyczajów, nazywa półangielskiém i uważa niejako za bramę do Anglji. Tam spotykają się podróżni dążący do wysp Brytańskich ze wschodu i południa Europy, jako w punkcie wspólnym przeprawy, do któréj najdogodniéjszą jest cieśnina Kaletańska. Dziesięć dni zabawił autor w Calais. Teatr jest tam szczupły, i przedstawiają na nim płaskie farsy, nie zaś komedje wyższego rzędu, jakby na ojczyznę Moljera przystało. Budowle publiczne nic nie uczą i nic nie przypominają. Nie pominął tu autor miéjsca które Sternowi pierwsze natchnęło pomysły do jego *Sentymentalnéj podróży*; zajmował nawet ten sam pokój, w którym ten sławny

---

dzieło to jest jednęm z najstaranniéj wydanych przez drukarnię Gałęzowskiego, która w krótkim dosyć przeciągu czasu stanęła w równi z najlepszemi tego rodzaju zakładami polskiemi, jak tego liczne o jéj czynności przekonywające przedsięwzięcia są dowodem.

autor mieszkał. Do dzisiaj jest nad nim napis: *Sterne's Chamber.*

Opisując autor Anglików przybywających do Calais w rozlicznych widokach, objaśnia w przypisku to znane nazwanie ludu Angielskiego *John Bull* (Jan Byk). „Jest to, mówi on, wyraz używany na oznaczenie ludu angielskiego pod względem na szczególności jego charakteru, różniące go od innych ludów europeyjskich. Przezwisko to z przyczyny samego gminnego porównania, nie może być szlachetném: upowszechnił je jak mniemają sławny Swift i jego przyjaciele, chcąc przezeń żartobliwie wystawić siłę ciała, męztwo i otwartość pospólstwa angielskiego, a zarazem naganną jego zaciętość, rubaszność i skłonność do narodowych przesądów. John Bull często występuje tak w karykaturach: jest on mężczyzna tęgi, pleczysty, silnych, żylastych członków, nieco spasły, ponurego spojrzenia, nie lubiący ceremonji, nikomu nie ustępujący z drogi, a w każdéj chwili gotowy do boxów. Lubi on zajadać narodowy *rost-beef*, *plumpudding* i zapijać porter. Lubi nad miarę swój kraj i króla, inne narody ma za nic, i każdego cudzoziemca nazywa z pogardą Francuzem. Ma on swój osobny język, pełen dobitnych wyrażeń i przenośni; ma także swoją gazetę zwaną *John Bull*, która tylko raz na tydzień w niedzielę wychodzi; bo John Bull w dni powszednie niema czasu do czytania, ani kocha się w czy-

taniu; to zaś co czasem czyta, musi być zgodnie z jego duchem pisane, i poważną dowcipną uszczypliwością, którą on zowie *humorem*, zaprawione, a nadewszystko nie tykać jego narodowych przywidzeń"

Pierwszy rzut oka na Anglików w Calais, daje autorowi sposobność uchwycenia ich powierzchownych rysów. Przybywają oni, a szczególnie *John Bull*, do Calais, aby Francuzom pod nos *Rule Britannia* (Panuj Brytanjo) zaśpiewać, upić się ich winem, i wrócić na swoją wyspę. Niektórzy z nich tak są przesiąknieni ponczem, że zapowietrzają powietrze. Poznać ich łatwo po tęgiéj tuszy, karmazynowych policzkach, z których tylko co krew nie wytryska. Celem ich życia jest sen, a jak się ockną, odurzenie. — Nadobne i skromne córy Albionu nastręczają także nie jedną uwagę dla cudzoziemca. Pokazują się w podróży w długich sukniach granatowych, jakich w domu zwykły używać do przejażdżek konno i rannych przechadzek. Niektóre występują ze szpicrutą w ręku, zkąd można wnosić, że potrafią toczyć rumakiem, a może i z kozła powozić. Przy tym ubiorze noszą kapelusze męzkie, co im prawdziwą postać Amazonek nadaje. Męzki ich charakter ułagadza zwieszony z kapelusza czarny lub biały welon, który spadając na twarz ma jeszcze tę czarodziéjską własność, iż przez swoje przezrocze tylko białość i rumieniec lica przepuszcza, u-

taja zaś lekkie skazy od ostrego powietrza, a nieraz i ciosy od nielitościwych lat zadane.“

Przeprawa przez cieśninę Kaletańską nie więcéj nad cztery mile polskie szeroką, odbywa się na statkach *Packet-boats* zwanych. „Są one w ogólności mniéjsze i lżéjsze od kupieckich okrętów, budowane z uwagą na wygodę dla podróżnych,— mają dość obszerny pokój, który jest przez otwór czyli okno w pokładzie oświecony; po bokach są przegrody nakształt framug przeznaczone na łóżka, idące w dwóch rzędach jedne nad drugiemi; znajduje się w nich najczystsza pościel, biała, bo Anglicy innéj nie używają. Firanki do łóżek są z zielonéj lub czerwonéj kitajki“ Są podobne statki i francuzkie. Przewóz przez cieśninę kosztuje gwineę (42 złp.) od osoby. Każdy podobny statek ma swoje nazwanie.

W czasie przeprawy doznał autor tak zwanéj *słabości morskiéj* (sea—sickness), która tylko wezwyczajonych do żeglugi majtków nie napastuje. Cierpiący czują rżnięcie we wnętrznościach, połączone ze skłonnością do wymiotów, głowa im się zawraca, a w oczach malują się różne kolory, osobliwie zielony. „Najprzykrzéjszém, mówi autor, bywa to uczucie, kiedy wielki bałwan, podniosłszy na grzbiecie swoim okręt, opuszcza go na dół: jakieś odrętwienie przejmuje natenczas ciało, rozbiéra członki. Słabość ta jest tak dręczącą, iż ledwo nie

czyni człowieka obojętnym na życie. W wielkich nawałnościach musi ona bardzo łagodzić okropność rozbicia, czyniąc ludzi nieczułymi na grożące niebezpieczeństwo. Nie każdy równie mocno cierpi; stan wewnętrznéj organizacji zdaje się sprawiać tę różnicę. Wszystkie dotąd używane środki dla ochronienia od niéj są bezskuteczne; chcąc jednak jakąźkolwiek mieć w tém ulgę, najlepiéj obrócić się twarzą do wiatru, siedzieć bez ruchu, z zamkniętemi oczyma, albo je mieć wlepione w ieden punkt stały, — pospolicie obiera się takowy na maszcie. Powietrze zamknięte najwięcéj szkodzi: lepiéj przeto zostawać na pokładzie okrętu niż w izbie na dole, chociażby tam można mieć wygodne łóżko. Leżenie cokolwiek pomaga. Potrawy gęste opóźniają w prawdzie tę słabość, lecz nie uwalniają od niéj; potrawy rzadkie obudzają ją, ale razem czynią znośniéjszą;— z téj przyczyny dla ulgi piją najwięcéj herbatę.“

Nie zatrzymując się dłużéj nad jedną noc w *Dover*, ruszył autor do *Londynu* pocztą, która jest skrzętna, prędka i tylko dzień drogi z Dover do Londynu potrzebuje. Gościniec idzie po równinach hrabstwa Kent; nie jest szeroki, bo Anglicy ziemi oszczędzają, i nie obsadzony drzewami. „Nigdzie w okolicach, mówi autor, nie widać rozległych wsi ani tak licznych osad jak w Polsce; gdzie niegdzie tylko stoi po kilka domków razem, inne w różnych stronach

porozrzucane stoją pojedynczo: wszystkie są murowane, dachówką ceglaną lub goncikami z modrawo-szarego łupku pokryte. Bardzo są schludne i przyjemne, choć w ogólności za szczupłe a niektóre tak małe, że wydają się jakby cacka do patrzenia, nie do mieszkania, przydatniéjsze dla pustelników niż dla rodziny mającéj gospodarstwo.“ Obszernych łanów, jak u nas, nie widać w Anglji; pola wydają się być ogrodami. Nie można również ujrzéć lasów, ciemnieją tylko gdzie niegdzie *Parki*, albo ogrody angielskie, z pośród których przebijają się pyszne pałace.

Miasteczko *Canterbury*, które autor widział po drodze, gdzie indziéj za porządne miasto uchodziéby mogło; znane było już za Rzymian, którzy tam mieli swoje stanowisko zwane *Durovernum.*

W połowie drogi do Londynu już dał się postrzegać na gościńcu ruch nadzwyczajny: liczne karety pocztowe i dyliżanse mijają się co chwila. Ubiór woźniców pocztowych jest bardzo czysty i świetny. Między Dover i Londynem 60 przynajmniéj pojazdów pocztowych co dzień się obraca; niektóre dzwigają 14 do 17 osób wewnątrz i na wierzchu. Nie ma zwyczaju w Anglji podróżować własnemi końmi; każdy jedzie pocztą lub dyliżansem; najmajętniéjsi nawet tak czynią. Podróż odbywa się w ten sposób prędzéj i taniéj. Dyliżanse są rzą-

dowe (*Mail-Coach*) i prywatne (*Stage-Coach*); ostatnie są tańsze. Miéjsca w dyliżansach są wewnątrz (*in-side*) i na wierzchu (*out-side*). Nie płaci się nikomu więcéj nadto co jest przepisane; jazda odbywa się kłusem, nigdy zaś noga za nogą po niemiecku, albo czwałem. Gospodarze na stacjach są uprzejmi, i wychodząc do zajeżdzających podróżnych, nadstawiają im przy wysiadaniu ramię.

W miasteczku *Rochester* miał autor sposobność poznać kuchnię angielską. „Dano do stołu, mówi on, jakąś zupę ni czarną ni białą, któréj, dość powiedziéć, nikt ani jeść nie mógł, ani zgadnąć z czego właściwie się składała; nie mogąc zrobić chemicznego jéj rozbioru, nazwaliśmy ją rodzoną siostrą zupy spartańskiéj, któréj ingredjencji także dla braku dostatecznych świadectw, nikt z uczonych filologów dotąd nie docieki. Po zupie przyniesiono rost-beef, stanowiący jak wiadomo grunt i koronę stołu angielskiego, bez którego o dobrym obiedzie John Bull ani pomyśléć może. Miał on być reprezentantem naszéj wołowéj pieczeni, lecz wcale nie był do niéj podobnym: był to ogromny piękny kawał tłustéj wołowiny, nie upieczony ale rozparzony tylko, że rozkrajawszy go nożem, krew się sączyła; i dla tego, chociaż może był najwierniéj podług przepisów londyńskiéj kuchni sporządzony, niemógł nam przypaść do smaku; owszem, niejaki wstręt na sam widok spra-

wiał znowu więc i tego przysmaku nikt tknąć się nie ważył.„ Cena żywności jest wiadoma i i powszechnie nie wysoka; cena trunków krajowych jest także pomierna. Wino zawsze jest drogie i rzadko nie fałszowane.

O kilka mil za Rochester, z *Góry Strzelców* (Shooter's Hill) ujrzał autor pierwszy raz Tamizę i Londyn. Dla ogromności miasta tego i dla obszernych przedmieść niewiedziéć gdzie się zaczynało i gdzie kończyło. Osłaniała je gruba mglista atmosfera, która jest właściwą Anglji. Do zaćmienia widoku przyczynił się nadto dym z węgla kamiennego unoszący się w górze nakształt nieruchomego obłoku. Słońce zachodzące rzucając nań ostatnie swe promienie, nadawało mu miéjscami brudno-czerwony kolor szkła okopconego. Z pośród tego zamroczenia przeglądały zamglone kopuły kościoła S. Pawła i gotyckie wieże Westminsterskiego Opactwa, szczytami swemi nad całą stolicą panujące.

„Pałace możnych Lordów, indyjskich *Nabobów*, bogatych kupców, które z gościńca widziałem były same z siebie wspaniałe; noc nadawała im pomroką jeszcze ogromniéjsze zarysy. Snuły się przed rozognioną wyobraźnią przepych, zbytek, cnoty i występki, do których bogactwo daje powód. Ludzie przechodzący gromadnie lub pojedynczo zajmowali myśl rozbojami i rabusiami, jednakże próżna byłaby teraz takowa o-

bawa' i honorowy cech tak nazwanéj *szlachty gościńcowéj*, znanéj pod nazwiskiem *high-waymen*, który niegdyś z pistoletem w ręku pobierał od podróżnych wjezdne do Londynu, już nie istnieje. Czujność rządu rozbroiła tę rozbójniczą bandę, a wyższa dziś oświata i moralność miedzy ludem rozkrzewiona, nawet zaród do niéj przytłumiła; jeśli co o niéj kto teraz zasłyszy, to chyba z dawnych romansów lub z powieści nianiek straszących dzieci. Samo pomnożenie się ludności w tych stronach, która w Anglji szybko wzrasta, przyczyniło się nie mało do jéj wytępienia.“

Jeden z najlepszych hotelów w Londynie jest *Clarendon*. Podziwienia godny porządek i czystość nadzwyczajna odznaczają go przedewszystkiém. Sienie i schody wysłane są pięknemi kobiercami! sypialne pokoje (*bed-rooms*) są zwykle na drugiém piętrze, a bawialny (*drawing-room*) na pierwszém: służy on do przyjmowania gości; w Anglji bowiem nikt w pokoju sypialnym nie siedzi ani wizyt nie przyjmuje; wchodzić do niego może tylko sam właściciel. Pokoje bawialne są obszerne i bogato umeblowane, cała podłoga wysłana kobiercami: podobnież w sypialnych pokojach, tylko podléjszemi. Znajdują się tam wszelkie wygody o jakich pomyśleć można. Łóżka są staroświeckie, obszerne, materace z włosienia, kołdry flanelowe. Pościeli nikt z sobą nie wozi, ale wszędzie ją dają.

Obók łóżka są dzwonki, wychodzące aż na dół gdzie zostają służący. Dzwonków nie słychać na górze, równie jak stąpania służących, którzy w trzewikach chodzą; wielka przeto panuje spokojność w oberży. Ubiór służących jest wykwintny, ale trzeba im się dobrze opłacać. Nie są oni płatni od gospodarza, ale jemu nawet niekiedy płacą za pozwolenie służenia, gdyż miéjsca ich, w większych zwłaszcza hotelach, są bardzo zyskowne.

Hotele urządzone są na wzór domów prywatnych, aby podróżnemu zdawać się mogło że się w własnym znajduje domu. — Z tego względu angielskim hotelom przyznać można pierwszeństwo nad wszystkiemi w Europie. Znajduje się w nich wszystko czego do wygodnego życia potrzeba. Na śniadanie schodzi się do pokoju bawialnego. „Zastaliśmy, mówi autor, stół zastawiony śniadaniem. Stała kawa i herbata; w ogromnym samowarze wrzała woda. Przy nich w różnych miéjscach, lecz nie bez pewnego porządku, leżały grzanki (*toast-bread*) chléb, masło, jajka na miękko; między niemi górowały dwie wydatne pieczenie wołowa i cielęca na zimno, szynka i pekeflejsz: później przybyły konfitury i lody.“ Można jeść ile się podoba, a za to płaci się ustanowiona cena od śniadania, dosyć umiarkowana jak na Anglję.

Ciekawém jest przysposobienie i rozdawanie herbaty; przytoczmy słowa autora: „Stał im-

bryk srebrny, w puszkach herbata czarna i zielona, które w pewnéj ilości razem mięszają. Lecz aby zabierać się do herbaty w Anglji, trzeba być pewnym swego; nigdy jéj nie przynoszą na stół gotowéj, trzeba ją samemu robić, i trafić wszystkim do gustu, co w wielkiéj kompanji, gdzie i znawcy jéj znajdować się mogą, nie jest tak łacno. Gdzie jest dama, robienie herbaty jéj się zostawia; gdzie męzczyzni, podejmuje się tego ten, który sobie ufa że wszystkim potrafi dogodzić. W Anglji do robienia dobrze herbaty trzeba miéć edukację, każdy téż stara się jéj nabyć; robienie herbaty jest tam urzędem honorowym, nawet miéjsce bliższe imbryka jest zaszczytniéjsze.„

Obraz Londynu który autor udziela, skreślony został przez niego we dwa lata po zwiedzeniu tego miasta, po potrójnym w niém przez czas znaczny pobycie. Z razu albowiem, widok jego utworzył mu niejakie chaos, z którego nie podobna było rozwikłać całości. Rozmaitość żywiołów, z których ta stolica się składa, zamiast nauczenia czego, wprawiła go w odurzenie. „Widziałem, (mówi on), i wiedziałem wiele, ale w natłoku rzeczy niepodobna było znaleść związku i ułożyć całości. Wiele nie było tém czém się na pierwszy rzut oka wydawało: wiele zostało zagadką do któréj potrzebowałem klucza.“ Rys jaki nam podaje, ściąga się tylko do powierzchownéj miasta postaci. Nieskończo-

na zatrudnień rozmaitość, nadaje Londynowi inną w każdéj dnia porze postać. Nigdy tam zupełnéj niema spokojności, a o północy więcéj widać ruchu, niż w innych miastach w południe: nadedniem dopiero wszystko się ucisza, a stróże nocni, w buchatych szarych płaszczach, z grzechotką, latarką i pałką w ręku, obwołują godziny, dodając oraz jaki jest poranek, czy pogodny, pochmurny, słotny lub mglisty. Czynności dnia rozpoczynają rybaczki nad Tamizą; po nich najraniéj przybywają ogrodniczki z warzywem i owocami na rynek *Coven-garden*. O osméj otwierają się pomniéjsze sklepy; o dziewiątéj, ruch się powiększa i dyliżanse krążyć zaczynają. Jest to obraz wschodniego Londynu; w zachodniéj jego części jeszcze o tym czasie śpią w najlepsze; świat bowiem wielki czyli modny, we wszystkiém chce się różnić od gminu, i dopiero koło pierwszéj godziny poruszać się zaczyna, a ucisza się około drugiéj po północy.

Przed wieczorem Londyn nierównie piękniéj się wydaje jak we dnie: od czasu jak zaprowadzono oświecanie gazem, przybyło dlań wiele uroku. Jednakże nie można powiedzieć że jest lepiéj oświecony od Paryża. „ Najwięcéj ozdoby nadają miastu sklepy, których świetność niekiedy podziwieniem zdejmuje. Policja w Londynie jest nędzna i nocną porą stanowją ją nocni stróże jedynie, którzy sami nieraz są z złodzie-

jami w zmowie. Najpóźniéj w Londynie idą spać drukarze, i skrzętni Izraelici na ulicy *Xiążęcéj*, (Duke-Street) przyjmują albowiem przez całą noc skradzione przez złodziejów rzeczy, i przetapiają srebro i złoto. »Darmo siliłoby się najbiegléjsze pioro na opisanie wszystkiego co ten wiecznie ruchomy cyrkiel w sobie zamyka: ktoby na to się odważył, musiałby skreślić historję wszystkich cnót, zabiegów, strat, błędów, nieszczęść, zbrodni rodzaju ludzkiego, które dzień po dniu powtarza i każdy zdaje się chcieć wszystko wyczerpnąć, aby nic nie zostawić dla następnego.«

Dzień niedzielny jest w Londynie zupełnie od innych odmienny, i dotąd *Sabbathem* go nazywają. »Z rana, mówi autor, panuje taka spokojność, jak gdyby widziana w dni powszednie ludność nagle wymarła.« Powszechna wszędzie cichość i przyzwoitość, a nawet zabaw i wesołości nie widać. Ci co ściśle dzień ten obchodzą, przepędzają resztę dnia od nabożeństwa zbywającą na rozpamiętywaniu biblji po domach, inni, a między temi *elegancja*, udają się na spacer do *Hyde-Park*. Jest to wielki ogród w angielskim guście, podobny do obszernéj łąki, poprzerzynany gościńcami i ścieszkami, po których snuje się mnóstwo pojazdów i ludzi. Przerzyna go rzeczka zwana *Serpentine River* (Rzeka wężykowata), zachodząca aż do ogrodu

Kensington, który jest nierównie piękniéjszy, i którym chlubią się Londyńczycy.

Mieszkańców City czyli *prawdziwych* mieszczan, którzy ledwie raz do roku z miasta wychodzą, nazywają żartobliwie *Cockney*. Autor przytacza następujący początek tego nazwania: „Ojciec z wspomnionéj części miasta wybrał się raz z synem na wieś. Słyszą konia rżącego: syn zdziwiony pyta: „Tato! co to ten koń robi?— ojciec odpowiada: „Koń pieje."— Jadą daléj; słyszą koguta piejącego. Syn pyta znowu ojca:— „Tato! co ten kogut robi?"— ojciec odpowiada: „kogut rży (The-cock neighs.)" Ztąd poszło, że tych ze środka Londynu znawców wiejskiego gospodarstwa nazwano *Cockney*, po naszemu *Kurorżami*."

Wielkość Londynu największe czyni wrażenie kiedy się przez Tamizę przejeżdza. Widok domów w Londynie nic osobliwszego nie nastręcza. Budowane są z cegły i nietynkowane; okna mają małe i mała ich jest liczba, zapewne z przyczyny ostrości wilgotnego klimatu i uciąźliwego od okien podatku. Wszystko tam w budowaniu wygodzie poświęcają, mniéj pamiętając o ozdobności. Cegła ma pewien połysk dopóki przez dym z węgli kamiennych i przez słoty nie jest zakopcona. Mieszkanie królów nawet, pałac *St. James* nie odznacza się niczém szczególném, a *Carlton* mieszkanie teraźniéjszego króla, zowie się tylko *domem* (House), nie

zaś pałacem. Bruk jest rozmaity podług ulic. W nowo zabudowanych częściach miasta jest dobry; z obu stron ulic są *przybruki* (pavement) z ciosowego kamienia. Najnowsze ulice urządzają na sposób *Mac-Adama*; ulic tych z powodu wilgotnego klimatu nie potrzebują polewać, niema bowiem kurzawy.

Poznanie topografji Londynu nie jest łatwe, i są tacy co od dzieciństwa tam żyjąc nie znają jéj dokładnie, i nie wszędzie jeszcze byli. Przyjeżdzający do Londynu powinien się obeznać dobrze z mappą topograficzną miasta. Wzrost jego jest nader szybki, równie jak ludność, rękodzielnie i zamożność. Co rok kilka powstaje ulic, wioski pobliskie miasta wcielają się stopniowo do niego. Londyn ma dziś $1\frac{1}{2}$ mili jeogr. długości a $\frac{2}{3}$ mili szerokości; ludność jego dochodzi do półtora miljona; właściwie liczą jéj 1,360,000. Miasto składa się z 3 głównych części: 1. *City*, czyli dawny Londyn; 2. *Westminster*, część zachodnia; 3. *Southwark*, część miasta na prawym brzegu Tamizy leżąca.

City i Southwark zamieszkane są przez uboższych kupców, rękodzielników i pospólstwo. W całém mieście liczą 23 szpitalów, 95 schronień dla ubogich, i 300 przeszło kościołów różnych sekt i wyznań. Statystyka Londynu nie jest dokładna i dla wzrostu miasta co rok zmienna. W ostatnich czasach nie napisał nawet nikt dzieła w tym przedmiocie; znajdują

się wprawdzie rozrzucone materjały, ale nikt jeszcze z nich całości nie utworzył.

Londyn leży na równinie, i nie przedstawia wydatnych punktów, któreby cudzoziemcowi do kierowania się w przechadzce służyć mogły. Łatwo więc tam zbłądzić można. Dla tego pamiętać należy główniejsze place i ulice, aby w potrzebie wyjść na nie.

Tamiza wijąca się przez Londyn w różnych zagięciach może także do znalezienia kierunku dopomódz. Jest na niéj pięć mostów, mianowicie: *Londyński*, pierwszy od morza, przed którym jednak pierwszą jeszcze będzie droga podziemna pod Tamizą obecnie prowadzona; *Southwark Black-Friar*, *Waterloo* i *Westminsterski*. Przy moście przedostatnim znajduje się mechanizm oszukaństwu poborców mostowego zapobiegający. Osobne są rogatki dla pieszych i dla pojazdów, tak sztucznie urządzone, iż za każdém ich podniesieniem spuszcza się do szkatułki na dole ukrytéj jeden znaczek. — Znajduje się jeszcze most jeden za miastem zwany *Vauxhall-bridge.*

Między tak nazwanemi *czworogranami* (squares), czyli placami, najpiękniéjszy jest czworogran *Lincoln's Jnn Fields*, gdzie jest szkoła prawa. Zajmuje on pięć morgów ziemi. Długość jego boków ma być równą podstawie najnajwiększéj piramidy w Egipcie, z któréj wzór do niego wzięto. Pośród tych czworogranów

znajdują się klomby murawą i kwiatami zarośnięte. Ogródki te należą do prywatnych właścicieli, którzy o nich powinni mieć staranie. „Wiele z nich, mówi autor, ozdobionych jest posągami sławnych mężów, Pitta, Foxa, Bedforda, stojących na wyniosłych podstawach, gdzie obok stosownych allegorji wypisane są złotemi literami ich czyny. Dziecię bawiąc się przy nich od niemowlęctwa, nawyka czuć wielkość i niecić w sobie zapał do sławy. Na jednym z takich pomników widziałem raz piastunkę uczącą dziecię poznawać litery.„

Każdy dom w Londynie oznaczony jest numerem, i ma nadto tabliczkę mosiężną przybitą na drzwiach, z nazwiskiem właściciela lub mieszkańca. (*)

Rzemieślnicy i niektórzy przedsiębiercy używają na znakach swoich tytułów *nadwornych* osób którym roboty dostarczają. Dygnitarstwa te rzemieślnicze nie raz śmiech obudzają: i tak, na jednym domu widać napis *Bug destroyer to Her maiesty the Queen* (nadworny gubiciel pluskiew najjaśniéjszéj królowéj.) W inném miéjscu znajduje się napis: Liwerant oślego mleka dla xięcia Jork. — Przytacza autor ciekawe szczegóły o obszerności kredytu w Londynie.

(*) W jednym z warszawskich pałaców ma być zaprowadzony takiż sam porządek. Na tablicy mają być wypisane nazwiska mieszkańców.

Kupcy dają każdemu towary na kredyt, byle gospodarz u którego mieszka kupujący oświadczył że go zna i że w jego domu zostaje. Gospodarz tém samém staje się jego ręczycielem. — Są miejsca w Londynie tak publiczne jak prywatne, w których wiele ciekawości jest nagromadzonych i które pod rozlicznemi względami z stanem całego kraju w ścisłym zostają związku; takiemi są: *Westminster-Hall* i połączone z nim budowle, gdzie parlament angielski odbywa swe narady, oraz kilka wyższych trybunałów swoje posiedzenia; kościół Westminsterski, gdzie królów koronują i chowają, gdzie są pomniki prawodawców, poetów, filozofów i bohaterów. Najokazalszy z kościołów jest S. Pawła, na wzór kościoła S. Pawła w Rzymie zbudowany, który dla wielu pamiątek można za Panteon angielski uważać;— *Sommerset-House*, w którym wyższe administracyjne władze jakoto: skarb, admiralicja i sekretarjat rady stanu są pomieszczone, gdzie towarzystwo starożytności swe posiedzenia odbywa, i są co rok wystawy obrazy i snycerstwa, muzeum botaniczne, mennica, bank, bursa kupiecka, teatra: *Drury-lane* i *Covent-Garden.*

Po sześciodniowym pierwszym pobycie w Londynie autor udał się do Szkocji. Podróży téj służyła pogoda, co pożądaną było rzeczą dla widzenia okolic. „Niebo w Anglji rzadko jest zupełnie wypogodzone; błękit jego jest popielaty, nie tak mocno ciemny jak we włoszech, ani

nawet jak u nas w Polsce. Najczęściéj snują się po nim chmury lub stoją nieruchome jak porozrzucane runa wełny, co poeci angielscy zowią *fleecy clouds*. Widok taki nadzwyczajnie pięknym jest przy świetle xiężyca, i patrząc nań wydaje się jakby całe nieba sklepienie było miękko wysłane.

Miasteczka które autor w drodze napotykał, były w ogólności w kwitnącym stanie. Kanały którémi kraj wszędzie jest poprzerzynany, nadzwyczaj ułatwiają kommunikację i handel; długość ich wyrachowana jest na 500 mil jeograficznych. Najgodniéjszém uwagi było miasto *Jork* znakomite wspaniałą katedrą, uważaną przez znawców za doskonały wzór architektury gotyckiéj. Wykonywają tam corocznie arcydzieła Mozarta, Hendla, Haidena i Beethovena. W mieście tém znajduje się szpital obłąkanych, założony przez Kwarów z ich własnych składek i przez nich administrowany, uchodzący za wzorowy.— Miasteczko *Durham* nad rzeką *Weare*, uważane jest za najuboższe w Anglji. Biskup tameczny ma rocznie 9,000 f. s. (360,000 złp.)— Żył tam w czasie przejazdu autora Borusławski, znany karzeł za Stanisława Augusta. Miał on lat blisko 80, zostawał w czerstwém zdrowiu i uchodził nawet za dowcipnego. Uczęszczał do pierwszych domów obywatelskich i tytułowany był *Hrabią*.— W *Sunderland* znajduje się sławny żelazny most 100 stóp wysoki a 236 st. długi, o jednym

łuku; okręty pod nim wygodnie z masztami przepływają. „Wjeżdzając w okolice *Newcastle*, mówi autor, rozumiałbyś że wjeżdzasz w kraj Wulkana. Gdziekolwiek spojrzysz, widać dymiące się kuźnie i iskrzące piece, w których leją żelazo, a ludzie krzątają się brudni, zakopceni i czarni jak w krainie murzynów. Wszystko robi się tam machinami, które poruszane są parą. Tu są sławne kopalnie węgli ziemnych, które uchodzą za najtwardsze i najlepsze; dobywają się zaś w takiéj obfitości, że niemal cały Londyn niemi zaopatrują. Wszystko tu ma tylko z ogniem i węglami do czynienia, łatwo więc sobie wystawić, że ziemia któréj wnętrzności tak rozdzierają, nic przyjemnego dla oka miéć nie może.«

Im bardziéj zbliża się podróżny do granic Szkocji, kraina angielska, która dotąd była wzgórkowatą, staje się coraz górzystszą: widoki zaczynają się urozmaicać, a ziemia nie przestaje być bogatą w urodzaje i pastwiska. Dzikie piękności tych okolic opisuje autor z poetyckiém uniesieniem: »W porze nocnéj, mówi on, kiedy po xiężycu snuły się chmury, i on, to za góry zachodził, to znów się wynurzał, uczułem żem był w ojczyznie Ossjana, i żem oddychał tém samém co ten ojciec pieśni powietrzem.«

(Dalszy ciąg nastąpi).

XIII.

Dwuletni pobyt w Konstantynopolu i Morei (1825, 1826), albo historyczna wiadomość o Mahmudzie, Janczarach, nowém wojsku, Ibrahimie-Paszy, Soliman-Beyu, i t. p.; przez P. C..... D....., Tłumacza Królewskiego w Konstantynopolu. Dzieło ozdobione wyborem wschodnich ubiorów, litografowanych i kolorowanych przez P. Collin— Paryż 1827.

(*Dalszy ciąg*).

Jako dwa najważniéjsze wypadki obecnéj epoki, uważać można bez wątpienia, zwycięztwo w Konstantynopolu nad Janczarami, oraz zwycięztwo chrześcjan pod Nawarynem nad muzułmanami odniesione. Sciésniając ile możności opis autora, dla braku miéjsca, tudzież pomijając historyczne wiadomości jakie przytacza o téj zniszczonéj milicji, skreślimy tu obraz katastrofy, która jéj istnieniu koniec położyła. »Nie przewidywałem bynajmniéj, abym miał się stać świadkiem podobnych wypadków, które iżby się wydarzyć miały, żadnego wcale nie było podobieństwa. Jakże przypuścić, ażeby gardząc nabytém przez Selima doświadczeniem, Mahmud chciał narażać życie swoje i berło, na los niepewnego powiedzenia się równie śmiałego przedsięwzięcia, a które tyle okropnych wypadków

poprzednich niepodobném do uskutecznienia wystawiało? Uczynił on to przecież, i niepodobna w tém nie podziwiać nie zachwianego jego postanowienia. Korpus Janczarów tak potężny, tak nawykły do panowania przez bunty i uskramiania despotyzmu nawet samego, ujrzał kruszącą się całą swą potęgę o wolę jednego człowieka. Okropną rzezią odpokutowali oni za dawne tryumfy, a miecz na którym władzę swoją zasadzali, stał się ich upadku narzędziem.

Muhmud rozmyślał przez lat osiemnaście nad tém stanowczem dziełem, którego wykonanie ciągle opóźniał; dowodem tego jest ta okoliczność, iż zaraz po zamordowaniu Sułtana Mustafy, kazał zebrać broń i ładownice *Nizam — djedidów*, (nowego wojska), i zamknął je troskliwie w składach seraju; a na trzy miesiące przed wielką rzezią zachowano tam również z największą ostrożnością i skrytością 50,000 karabinów z Liège sprowadzonych. Czekał tylko na dogodną sposobność Mahmud, i był tak śmiały, że ją sam przyspieszył. Nazwisko *Nizam — djedid* stało się od śmierci Selima nienawistném dla całego narodu, i tak było przeklęte w państwie tureckiém, jak jest dzisiaj nazwisko *Janczara.* Mahmud ośmielił się wyrzec je na nowo pośród Ulemów których zwołał do siebie, dla naradzenia się względem reformy jaką przedsięwziąć zamyślał; ztąd powstała wieść o téj reformie, która nie będąc jeszcze ogłoszoną przez *Hatti-*

szerif czyli dekret Sułtana, rozeszła się pomiędzy ludem. Rozsądni ludzie uważali ją za bezzasadną, nie mniemali bowiem iżby Sułtan mając smutny przykład w okropnym Selima zgonie, był tak nierozważnym narażać się na nienawiść Janczarów. Ale Monarcha zdjął w krótce maskę; postanowienie jego ogłoszone zostało, organizacja europejska zaczęła być rozwijaną w stolicy téjże saméj chwili, a liczni gońcy powieźli na wszystkie strony do paszów prowincjonalnych rozkazy urządzania również nowych pułków. Od téj chwili oczekiwaliśmy poruszenia buntowniczego. Spokojni obywatele, którzy w czasach Cabakteczi i Bairactaru doświadczyli wściekłości wojen domowych, obawiali się o życie i o majątki swoje; my również w murach przedmieścia Franków, widząc się na wulkanie, uważaliśmy się za dalekich od bezpieczeństwa... Szesnastego czerwca (1826) poznaliśmy że obawa nasza nie była bezzasadną. O drugiéj godzinie po północy rozbiegła się wieść po przedmieściu Pera, że kociołki (*) przeniesione zostały na plac Etmeidam, i że Janczarowie z wielkim wrzaskiem domagają się pięciu głów, to jest, ich Agi albo naczelnego jenerała, Hussejna-Paszy ex-agi,

---

(*) Pierwszą oznaką nieukontentowania Janczarów, a ztąd ich buntu w razie nie uzyskania czego chcieli, było zawsze wywracanie kociołków. Sprzęt ten można było uważać jako godło ich burzliwości. Prz. Red.

Nedjib Effendego wysłańca Mohameda Ali, wielkiego Wezyra, a nakonicc Muftego. Popełnili już wielkie bezprawia, zrabowali wiele domów, a przebiegając ulice Stambułu, napełniali je okrzykiem: »*Smierć Sułtanowi Mahmudowi! »niech żyje syn jego Achmet! precz z Nizam- »djedidami! niech żyją dzieci Haggi-Bektach!*» Sułtan znajdował się w swoim domu wiejskim *Bechiktach:* na odgłos powstania, przybiega spiesznie do seraju swego w Stambule, otoczony urzędnikami swego domu. Gdyby Janczarowie których było 25,000 prosto byli ku serajowi dążyli, i opanowali go ze skarbami Sułtana i kilku baterjami, co z łatwością mogliby uczynić, nieochybnie by im się było powiodło; lecz zamiast przedsiębrania środków na przyszłość, inne jeszcze popełniali bezprawia. Nawykli być zawsze panami, nie mogli pojąć, iżby im Sułtan miał stawić jakikolwiek opór, i to nieroztropne zaufanie stało się zguby ich przyczyną.

Hussein Pasza były Aga Janczarów znajdodował się naówczas w pobliskości Konstantynopola. Przy pomocy niektórych wiernych żołnierzy, zgromadził on pod rozkazy swoje kanonjerów, bombardjerów, bostandzich, albo strażników ogrodów serajowych i jemu to przypisać należy zwycięztwo. Wściekły janczar pod Selimem, człowiek ten łączący do lwa odwagi tygrysa okrucieństwo, znajdował się w liczbie tych, któ-

rzy bratobójczemu Mustafie pomagali do ztrącenia z tronu jego brata. Ale polityczne zasady jego zmieniły się wraz z okolicznościami. Poświęcił on się Mahmudowi, który go agą janczarów, a następnie paszą o trzech buńczukach mianował. Będąc dowódzcą korpusu tego, przytłumił on nieraz bunty, i własną ręką nie jedną uciął głowę. Był on strasznym i nienawidzonym razem, dla tego też głowy jego natarczywie się domagano. Przybywszy do Konstantynopola, biegnie on do seraju: »Czyliż oddasz mą głowę janczarom, rzekł do sułtana, lub ramię moje twego tronu ma bronić?« — »Waleczny, odpowiedział sułtan, nadeszła chwila wytępienia nieprzyjaznych tronowi: powierzam ci dokonanie zemsty mojéj, janczarowie zginą wszyscy, albo pług będzie przebywał zwaliska Konstantynopola!« *Sandjeak szeryf*, czyli chorągiew Machometa, na którą żaden chrześcjanin pod karą śmierci nie może rzucić wzroku, i którą tylko wtenczas wystawiają, kiedy państwu niebezpieczeństwo zagraża, rozwiniętą została; *mufty* otoczony *ulemami*, *kadyszami* i naczelnikami derwiszów, wykrzyknął po trzy razy te słowa: »*W imieniu Boga Najwyższego, w imieniu Mahometa największego z proroków i z rozkazu niezwyciężonego sułtana Mahmuda, janczarowie wyjęci są z pod prawa. Smierć każdemu buntownikowi, pozdrowienie i szczęśliwość tym co się pod święta*

chorągiew zgromadzą. « W krótce potém na wszystkich ulicach słyszeć się daje odgłos publicznych obwoływaczy, odczytujących następujący *hattiszeryff*. »*Niechaj każdy wierny religji muzułmanin chwyta za oręż i udaje się pod świętą chorągiew, obok meczetu sułtana Achmeta!*« Powtarzają ten wyrok muezzyni ze szczytu swoich minaretów; natychmiast każdy spieszy się być posłusznym rozkazom monarchy; mieszkańcy wszystkich części miasta, mając przed sobą swego *imana* postępują ku Hippodromowi. Po ogłoszeniu tegoż zwołania w Scutari i we wszystkich wioskach na obu brzegach Bosforu, liczba obrońców tronu staje się w krótce bardzo znaczną. Na czele tego pospólstwa dobrze uzbrojonego, lubo na prędce, i poprzedzony 8. lub 10,000 kanonjerów, Hussein udaje się na plac *Etmejdan*, i uderza na zbuntowanych. Przerażeni tak nagłém natarciem, janczarowie bronią się wszelako mężnie, i przy pomocy kilku armat siekaném żelaztwem i kamykami nabijanych, długo ważą zwycięztwo, ale kiedy liczba żołnierzy ciągle wzrasta, walka staje się nierówną; a obawiając się być ze wszystkich stron otoczonymi, buntownicy chronią się nakoniec do ogromnych koszar, gdzie korzystniéj spodziewają się ucierać. Hussein każe działami drzwi koszar powysadzać: natychmiast janczarowie z sześciu dział dają ognia do

nacierających, kiedy tymczasem żywe strzelanie z ręcznéj broni rozpoczyna się z okien górnych.

Wtenczas to sułtan Mahmud, który znajdował się w seraju nie zaś na czele wojska, jak rozgłaszano, ale któremu wysłańcy czwałem przez ulice pędzący, co minuta przynosili wiadomość, dał rozkaz Hussejnowi zapalenia koszar. Rzezią tylko oddychający dowódzca, pospiesza wykonać ten rozkaz, i gmach na cztery rogi zapalają. Zajęci obroną własną janczarowie, nie mogą razem gasić płomieni, które wzmagają się z szybkością. Wypędzeni naówczas z schronienia swego przez gorąco, dym i walące się gorejące belki, zbierają się na wielkim dziedzińcu. Nowe to miéjsce obrony równie się dla nich staje okropném jak pierwsze. Tam, nielitościwie zmiatają ich zastępy z dział nabijanych siekaném żelaztwem, umieszczonych przy każdych drzwiach koszarnego gmachu. Napróżno wzywają kanonjerów aby na ich stronę przechodzili; napróżno dają im nazwiska przyjaciół, braci; za całą odpowiedź *topczowie* śmierć na nich miotają. Jeśli niektórzy zdołają ratować się ucieczką, przytrzymanych wkrótce wojsko sułtana bez litości sztyletami morduje. Nigdy słońce równie okropnéj nie przyświecało rzezi.

Nie wszyscy jednakże jeszcze janczarowie byli wytępieni: zostawały trzy inne koszary mniéjsze jednak od pierwszych; zdobyte wszelako wkrótce zostały, a ich obrońcy od ognia lub

miecza polegli. Nie wielu tylko z nich zdołało schronić się do Azji lub do lasu Belgradzkiego o cztery mile od Konstantynopola. Nakoniec, jeden dzień i noc jedna dostateczne były do zupełnego zniszczenia najstraszniéjszéj milicji Ottomańskiéj. Dwudziestu dowódzców którzy zaraz w początku wierność Hussejnowi zaprzysięgli, jedynie tylko byli ocaleni. Aga ich czyli jenerał naczelny, którego głowy domagali się burzliwi, skoro tylko mufty wyrzekł przekleństwo na ten korpus, rzucił spiesznie o ziemię janczarską czapkę swoją, zdeptał ją nogami i przywdział turban nowego wojska.

Kanonjerowie jak lwy walczyli. Urządzeni i na pułki podzieleni jeszcze za Selima, nie przestawali oni odbywać pod Mahmudem *talimu* albo musztry; ta była przyczyna zawiści między niemi i janczarami, z któréj sułtan umiał tak dobrze korzystać.

Hussein-aga-pasza mianowany został *Hanem*, który to tytuł stawiał go wyżéj nad samego wezyra i *Seraskiera-paszę*, naczelnego wodza wojsk ottomańskich. Osobiście podziękował w krótce sułtan tym wszystkim co się w walce téj odznaczyli, i nadał im nazwanie *Asker-Mahammed*, czyli wojska Mahometa. Nie zasnął jednakże na krwawych laurach swoich i przedsięwziął środki do wytępienia złego aż do korzenia. Z rozkazu jego, wielki wezyr, otoczone oprawcami, rozłożył się pod namiotem na

jednym z dziedzińców meczetu Achmeta, gdzie powiewała zwycięzka Mahometa chorągiew, kiedy tym czasem Hussein, przebiegając miasto z kilkuset uzbrojonymi ludźmi, zatrzymywał na oślep mieszkańców, i zapytywał każdego: muzułmanin czy janczar jesteś? .... Większa część odpowiadała spiesznie i bez wahania »jestem muzułmanem.« Niektórzy wszelako, przekładając śmierć nad wyznanie z ich uczuciami niezgodne, mówili że są janczarami, i chlubią się z tego; takich naturalnie wleczono natychmiast do Hippodromu, i niezwłocznie śmiercią karano. Do pytań powyższych przydawał Hussein inne: »jak się nazywasz, jakie twe powołanie? Ci których odpowiedzi nie były zaspokajające, prowadzeni byli przed sądy *na prędce* urządzone, i tam musieli okazywać papiery, przedstawiać świadków znanych i dowodzić stałéj wierności dla monarchy i religji. W jednéj z krwawych przechadzek swoich, zdawało się Husseinowi iż poznał *hustę* (pułkownika) janczarów, który się przebrał za Ormjana. „Dobry człowieku, rzekł do niego, czy jesteś Ormjanem odszczepieńcem czy Ormjanem katolikiem? — »Katolikiem« odpowie nieszczęśliwy który się mięszać zaczął. — »Więc dobrze, ponieważ tak jest, odmów mi twoje wyznanie wiary.„ Janczar nie mógł słowa przemówić. »Otóż cię mam zawołał Hussein, poznaję w tobie *hustę* 14go pułku« i kazał go zawlec na męczarnie.

Rzeź ta przeszło pietnaście dni trwała. Nietylko janczarowie których odkryć potrafiono, i osoby przekonane o dzieleniu z niemi sposobu myślenia, śmiercią karani byli, lecz i wszyscy co się w czasie buntu Selima odznaczyli, a których Hussein-aga, sam będący w owéj epoce janczarem, listę zachował. Pomiędzy tymi było wielu bardzo starych, ale ich siwe brody nie zdołały względu pozyskać, i bez litości śmierć im zadawano. Nakoniec po tysiąc ludzi ginęło codziennie w Konstantynopolu rozmaitego rodzaju śmiercią. Ztrudzone były ręce katów, i przestrach doszedł do naywyższego stopnia.

Publiczne oburzenie, przytłumione z razu przestrachem, wybuchnęło wszelako w kilka dni po katastrofie. Kobiéty owdowiałe, starcy pozbawieni synów swoich pomocy i wsparcia, osierociałe dzieci, jęczały w milczeniu; ale liczni janczarów przyjaciele sprzysięgali się potajemnie i czekali tylko na sposobność pomszczenia się ich losu. Przylepiono na bramie seraju napis z cztérech wierszy tureckich złożony, którego myśl była następująca: » *Los oprawcy Mahmuda gorszy będzie niżeli Selima. Niechaj wie że janczarowie trwalsze mają życie aniżeli* psie ziele. » Rozjątrzony coraz więcéj sułtan, pomnażał liczbę nieszczęśliwych ofiar. — Osoby podejrzane iż mogły być tych wierszy autorami, uwięzione i stracone były bez wyroku. Kobiéty które wołały: *Niech żyją janczа-*

rowie — precz z nizamdjedidem! pozawiązywane zostały każda w osobnym worku i do Bosforu wrzucone. Ale wkrótce podłożono ogień w cztérech rozmaitych miéjscach miasta. Płomienie zniszczyły przeszło 25,000 domów, i dopiéro pod murami seraju zagasły; od wieku już nie widziano tak okropnéj klęski. W miesiąc po tym pierwszym pożarze podłożono znowu ogień w Scutari, a trzeci pożar pochłonął obszerne koszary blisko seraju leżące.

Hamalowie czyli *trębacze*, korporacja można i przyjazna janczarom, doznali takiéjże niełaski i i temuż samemu ulegli losowi. Jedni pomordowani zostali w Konstantynopolu, inni wygnani do głębi Azji znaleźli tam śmierć z rozkazu rządu i wyginęli od trucizny lub stryczka. Postanowiono, iż nie będzie więcéj *Hamalów* tureckich, i że ich zastąpią na przyszłość Ormjanie. Z tegoż równie narodu wybiérano rekrutów do korpusu *Pompiarzy*, z wyłączeniem od służby Turków.

Pozostáje teraz, mówi autor, zrobić jedno pytanie: czyli zaprowadzony ten nowy porządek rzeczy, religji i zwyczajom narodu tureckiego przeciwny, długo będzie się mógł utrzymywać? Mniema on, iż rząd podobny do tureckiego w zasadach swoich już ma źródło koniecznego upadku. Ale ludy wschodnie od tak dawnego już czasu znoszą jarzmo barbarzyństwa, i zdają się w pe-

wnym względzie zasługiwać na to co cierpią, przez swoją nikczemność i upodlenie.

Zanim opuścimy to miasto krwi i błota, kolejnie żelazem i ogniem niszczone, rzućmy szybkie wejrzenie na nowe wojska, które Mahmud, uwolniony na chwilę od wszelkiéj niedogodnéj mu przeciwności, przez wytępienie jańczarów, w miéjscu dawnéj milicji utworzył. Sam sułtan przywdział na siebie ubiór pułkownika *nizam-djedidów*, ubior ozdobny i lekki, niezmiernie różniący się od zwyczajnego stroju jego, który jest nadzwyczajnie ciężki. Lubi on odbywać po placach Konstantynopola obroty z swymi żołnierzami, i rozdaje im często wynagrodzenia. Lud zbiega się tłumnie w czasie musztry (*talim*) i przypatruje się jéj z podziwieniem. Autor nasz mówi że nigdy nic równie śmiesznego nie widział. Lubo nie trzeba wielkiéj znajomości jeometrji aby wytknąć linję prostą, niepodobieństwem jest przecież żołnierzy tych prosto uszykować; nie mogą się również nauczyć maszerować krokiem równym, a powstający z tąd nieporządek i nieregularność poruszeń, nader rozśmieszający widok przedstawiają. Nie dosyć natém, jedni z nich noszą karabin na lewém, inni na prawém ramieniu; na każdą kommendę, wykonanie jéj zamiast razem i na wspólne poruszenia, odbywa się powoli, a często nawet niezgodnie z kommendą; dla dopełnienia wreszcie obrazu śmieszności, kompanje składają się z czterdziestu ledwie ludzi w wieku zdolnym do noszenia broni, a z sześćdziesięciu dzieci, które ledwie unieść potrafią karabin. Wszystko w téj armji naprędce urządzonéj zdaje się być karykaturą wojsk europejskich. Ale z niecierpliwością oczekiwano na officjerów instruktorów, których późniéj przybyło wielu z Egiptu, Włoch i Francji. — Nie

ma nic powabniéjszego nad ubiór pułkowników: mają oni szal na głowie i szalem są przepasani; przy boku lewym wisi szeroki pałasz; kamizelka haftowana jest złotem, spodnie (*chalvar* z sukna ponsowego są ozdobione z obu stron złotemi galonami; okrywa ich płaszcz axamitny czerwony, a na nogach mają żółte bóciki; konie mają również bardzo bogato ubrane. Prości żołnierze mają krótką kamizelkę, spodnie aż do kolan szerokie a obcisłe do kostek, ciżmy na wzór starożytnego obuwia i czapkę w kształcie melona, prążkami złotemi od góry do dołu ozdobioną. Ubiór innych officjerów, poruczników, podporuczników, sierżantów, mało się różni od żołnierskiego; srebrne blachy przypięte na kamizelkach oznaczają ich stopnie.... *Spahi* stanowią konnicę turecką; są oni liczni, i nowa organizacja jeszcze ich nie dosięgła, obfitość dzielnych koni w krajach tureckich, zręczność Muzułmanów w robieniu szablą (*), dają sposobność utworzenia z nich dobréj konnicy, jeśliby sułtan chciał to uczynić. Jnne korpusy siłę ladową składające, są: *topczowie* kanonjery, *cumbaradjis* bombardjery, *yamaki* z których złożone są załogi zamków obronnych nad Bosforem, a nakoniec *wojska paszów*, hordy rozbójników pustoszących nieustannie prowincje. Starają się teraz zaprowadzić między nimi karność i porządek.

Marynarka turecka jest w najnędzniéjszym stanie. Przed rewolucją grecką, cała prawie flot-zostawała w ręku Greków, tyle czynnych, ile niedołężnymi są muzułmanie. Niezdolni Kapitanowie dowodzą dzisiaj okrętami; dopomagają im sternicy, wszyscy ludzie w największéj części bez czci i charakteru, którzy zaprzedali się Turkom, dla tego iż im większą ofiarowali płace aniżeli pobierali na okrętach narodów swo-

(*) Ćwiczą się oni w ścinaniu głów na glinianych figurach.

ich. Co do osad okrętowych, jest to stek wszystkiego co tylko między ludem prowincjonalnym najhaniebniéjszego się znajdowsć może: rozbójnicy gościńcowi, zbiegi z więzień publicznych, Ormjanie i Żydzi, wszyscy nakoniec którym ogień i przytułek są odmówione, wysyłani bywają na flottę, na czas nieoznaczony; rekrutują nawet między górami Azji ludzi którzy nigdy morza nie widzieli, i wsadzają ich na okręta. Z tak dziwacznego urządzenia marynarki, można powziąć wyobrażenie o nieporządku panującym na statkach tureckich..... Dywizja flotty miała wyjść pod żagle dla połączenia się z kapitanem-paszą który niedawno był wypłynął. Dziewięć wielkich okrętów pdniosło kotwicę. »Siedziałem, mówi autor, nad brzegiem, i przypatrywałem się widokowi temu, kiedy najogromniéjszy z tych statków, na którym znajdował się dowódzca téj dywizji, uderzył o brzeg pod Scutari, na przeciwko pałacu sułtańskiego. Przez dziesięć dni zostawał ugrząźnięty na mieliznie, i wystawiony na pośmiewisko kapitanów i majtków okrętów kupieckich; a kiedy Mahmud przeklinał autora téj klęski, lud turecki, ze wszystkich ludów najprzesądniéjszy, wypadek ten za smutną uważał przepowiednię. Nakoniec sułtan rozkazał aby koniecznie okręt wydobyto, i aby go zniszczono. Napróżno wszelkich sił używali Turcy; kiedy w tém obcy kapitan podjął się tego dzieła, z zastrzeżeniem sowitego wynagrodzenia. Obiecano mu takowe i przedsięwzięcie udało mu się pomyślnie. Co do dowódzcy tureckiego, którego niezdolności przypisano to nieszczęście, został on z rozkazu Mahmuda na pal wbity.«

Poznawszy osobę sułtana Muhmuda, podróżny nasz chciał się również z godnym jego pomocnikiem Ibrahimem Paszą zapoznać. Udał się naprzód do Smyrny, zwiedził wiele wysp Ar-

chipelagu i przybył nakoniec do Morei, pomiędzy Turków, Arabów, a nawet licznych renegatów europejskich. Nie będziemy opisywać z nim razem okropnego obrazu rzezi na wyspie Scio. Dosyć będzie przypomnieć że popełnione tam zbrodnie tak były okropne, iż Turcy nawet sami wyrzucali je sobie. W czasie pożaru który przeszło 20,000 domów w Konstantynopolu pochłonął, słyszano Muzułmanów wołających: *Bóg jest sprawiedliwy, zasłużyliśmy na tę ukaranie; niebo karze nas dzisiaj za zbrodnie któreśmy na Scio popełnili.* «

Francuzki okręt na którym znajdował się autor, zbliżywszy się do portu Nawaryńskiego, gdzie znajdowała się flotta turecka, wywiesił białą banderę; »ale jakież było, mówi on, podziwienie nasze i przerażenie, kiedyśmy usłyszeli bicie z dział cytadelli, oraz z baterji w równi z poziomem morza będącéj na drugiéj stronie portu. Niebo pozwoliło, aby strzelaniem niezdolne kierowały ręce, jedne kule ginęły w wodzie bynajmniéj nas nie dosięgając, inne nas przenosiły; gdyby nie ta niezręczność Turków, zginęlibyśmy byli bez wątpienia. Nie mogąc dostać się do brzegu, z powodu gwałtowności przeciwnego wiatru, zarzuciliśmy kotwicę na środku; natychmiast sześćdziesiąt przeszło łodzi, mających po 50 ludzi w szable i muszkiety uzbrojonych, otoczyło nas do koła, nie śmiejąc do okrętu przystąpić, w mniemaniu iż to był statek nieprzyjacielski pod francuzką banderą. — Z kąd płyniecie? zawołał na nas mocnym głosem Włoch na jednym statku będący. — Ze Smyrny. — Kto jesteście? — Francuzi. . . . Po wielu innych pytaniach, rzuciło się na pokład okrętu 40 ludzi i ściśle przetrząsać zaczęli ładunek, a kiedy nas do koła pilnowano, tym czasem kilku Turków ciągle odpowiedzi nasze dowódcy eskadry zanosiło. . . . . Naza-

jutrz, zaledwie jutrzenka Nawarynu blanki i góry Itome wierzchołek ubielała, przybył do nas mały bacik. Officjer turecki wręczył kapitanowi naszemu rozkaz udania się natychmiast na okręt admiralski; udałem się tam z nim razem. Okręt miał 90 armat i 1300 ludzi osady, których powierzchowność była najszkaradniéjsza; powierzchowność okrętu odpowiadało postaci osady. Niewolnik jeden oznajmił nas *Kapitanowi-Bey* (*). Przyjął on nas w salonie ozdobionym ładną sofą i złoconemi lamperjami. Rysy tego człowieka z długą czarną brodą, przedstawiały w sobie mięszaninę okrucieństwa i dumy. Zresztą, znaleźliśmy w nim nieco grzeczności, prosił nas siedzieć na taboretach które nam przystawili niewolnicy. Włoch, który nas dnia wczorajszego zapytywał, wszedł do salonu; zostawiwszy trzewiki swoje przy drzwiach, rzucił się na twarz przed admirałem, pocałował kraj jego długiego futra i życzył mu dnia dobrego w sposób najpodléjszy i najuniżeńszy. Oburzyło mnie takie upodlenie się w chrześcjaninie.—»Człowiek ten którego widzicie, rzekł do nas admirał, oświadczył mi że jesteście Francuzi?— Kiedyśmy to potwierdzili, przydał: »Kapitanowie, powinniście się za nader szczęśliwych uważać, iż byłem tak dobry i oszczędziłem was wczoraj wieczór; bezemnie jużby was nie było na świecie; wasz okręt byłby zatopiony, a ci coby ucieczką ocalić się chcieli, byliby bez litości pomordowani na brzegu. Takie są rozkazy które otrzymałem...... »Ale dobre serce, uczucia szlachetne waszéj wysokości, rzekł Włoch pochlebca...... Nie daliśmy mu dokończyć, i podziękowaliśmy dowódcy. Po kwadransie najobojętniéjszéj rozmowy, admirał powstał, i we-

(*) Jest to ten sam admirał, który dowodził późniéj flottą turecko-egipską zniszczoną w bitwie Nawaryńskiéj przez eskadry sprzymierzone.

zwał nas abyśmy się oddalili, dozwalając nam przepędzić w Nawarynie tyle dni ilebyśmy sami chcieli. Wróciliśmy zatém do okrętu, pełni radości, i dziękując niebu, że nas od rozbicia i od Turków oswobodziło. Nadzwyczajne to pobłażanie przypisywaliśmy chwilowemu dobremu humorowi dowódcy; nie można było albowiem przypuścić, aby w inném zdarzeniu tak szlachetnie sobie postąpił; a od sześciu miesięcy jak część ta flotty tureckiéj znajdowała się w Nawarynie, ileż kupieckich okrętów zatopionych może zostało, kiedy mniemano, że się stały ofiarami rozbicia.

»Miasto Nawaryn, mające pół mili obwodu, zbudowane jest na wzgórzu średniéj wysokości: otacza je do koła mur najeżony działami, a broni cytadella dosyć mocna. Wenecjanie którzy je przez długi czas posiadali, i dopiero w 1715 roku Turkom oddali, są tych oszańcowań twórcami. Zwiedziłem wnętrze miasta: domy jego są małe i nieczyste, mieszkańcy ubrani po albańsku, oprócz żołnierzy Ibrahima; wszyscy mają fizognomje dzikie i odrażające; niema z resztą w Nawarynie nic godnego widzenia. W pośrodku miasta znajduje się wysoka budowa: była to niegdyś grecka świątynia; dzisiaj jest składem kul i prochu. Nakoniec, Nawaryn zdał mi się bardziéj być schronieniem rozbójników aniżeli miastem.

Wzięcie Nawarynu przez Egipcjan przypisać należy Neapolitańczykowi pewnemu, nazwiskiem Romée, inżenjerowi w służbie Ibrahima. Za radą jego, zrobiono wyłom strzelaniem z dwunastu dział wielkiego kalibru, które zatoczono na wzgórek wznoszący się na przeciw twierdzy, od strony morzu przeciwnéj. . . . . «

(Dokończenie nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Najnowsze wiadomości.

Inżenjerowie rossyjscy ukończyli niwellację półwyspu oddzielającego morze kaspijskie od Aralskiego jeziora, i przekonano się, że to ostatnie wyżéj nierównie od pierwszego jest wzniesione. Przyjaciele nauk jeograficznych oczekują z niecierpliwością na szczegóły tego ważnego dzieła.

(Pszcz: Półn:)

Podróżni niemieccy i angielscy.

P. Engelhard professor mineralogji w Dorpacie, powrócił z geognostycznéj i mineralogicznéj podróży swojéj w górach Uralskich odbytéj. Przywiózł on z sobą znaczny bardzo zbiór płodów z trzech królestw natury.
—Oczekują wkrótce K. Ledebour z podróży odbywanéj we względzie botanicznym między górami Altai. Professor zoologji, P. Escholz, który towarzyszył P. Kotzebue w podróży na około ziemi, i który zebrał przeszło 2,000 rozmaitych przedmiotów historji naturalnéj, zajmuje się obecnie opisaniem najciekawszych części swojego zbioru.
—P. Bernard Stuber, professor mineralogji w Berlinie odbywa teraz podróż we Włoszech i Austrji, mającą za cel badania geognostyczne i porównawcze dostrzeżenia na szwajcarskich i włoskich Alpach. Nadesłał on już ośm skrzyń kruszczów do gabinetu historji naturalnéj w Bern.
—Doktór Brunner zamierza wydać w krótce podróż swoją na szczyt Etny w r. 1826 odbytą. Szczegółowe to opisanie zawiéra między innemi, uwagi i postrzeżenia nad roślinieniem téj góry, oraz doświadczenia higrometryczne i fizyczne co do pulsu i oddychania na szczycie wulkanu.

—Młody naturalista, P. Berlandier, który przez Towarzystwo Genewskie wysłany był do Mexyku, przybył do Tampico. Toż samo Towarzystwo wysłało również innego znakomitego naturalistę, P. Weiller, do Ameryki południowéj. Ma on zwiedzić Peru, rozciągnąć badania swoje do Chili i zakończenia podróży swéj w Buenos-Ayres.

—Podpułkownik James Tod, który długi czas w Udipur jako ajent polityczny przebywał, zamierza wydać opisanie krajów mało dotąd znanych *Radjeputów*. Zebrał on niezmierne zapasy materjałów jeograficznych i historycznych. W każdym kraju otwarte były dla niego archiwa. Posiada on ważne bardzo wiadomości o architekturze dawnych Indji, i odkrył w okolicach jeszcze nieznanych, pomniki wielkiéj doskonałości, z których znaczna część bardzo dobrze się dotąd przechowała. Zdaje się, iż będą mogły służyć do objaśnienia historji starożytnéj Indji przed epoką teokracji, jak to okazują znajdujące się na nich symboliczne napisy.

NOWE DZIEŁA.

—Włochy *przez Archenholca w dwóch częściach-tłumaczone z niemieckiego.*—w Płocku; nakładem i drukiem Karola Kuliga Typ. Wojew. 1828.

—*Dwa dni w Szwajcarji saskiéj* w roku 1825 przez A. E. K. z epigrafą: „*Rozmawiać z przyrodzeniem, „i wpatrywać się w jego skarby rozpostarte.*“ (z Byrona.)

O obu tych dziełkach w późniéjszych numerach obszerniéjszą udzielimy wiadomość.